



pismo miesięczne z obrazkami

— wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. —

Redaktorka i wydawczyni:

Marja Wysłouchowa.

**Prenumerata wynosi:**

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.



**Zgon Sowińskiego**

Gdy trzechset dział gromy grzmiące  
Dały hasło na bój krwawy,  
A moskiewskich rot tysiące  
Biegły na szanice<sup>2)</sup> Warszawy:  
Garstka naszych za wałami,  
Przy wolskim<sup>3)</sup> skryta kościele,  
Witając wrogów strzałami,  
Z ich trupów wał drugi ściele.

<sup>1)</sup> Wiersz niniejszy „Zorza“ podaje na życzenie p. Adama Gębali, którego list Czytelnicy znajdują też w tym Nrze gazetki.

<sup>2)</sup> Szanice, okopy, wały obronne.

<sup>3)</sup> Wola — przedmieście Warszawy, na którym znajduje się kościółek.

C. Michał Krupa  
Urządnik pom. pocztowy

## II.

Wódz o szczydle im przewodzi,  
 Włos jego kryje siwizna,  
 Lecz młodzieńczą siłę rodzi  
 Honor, wolność i ojczyzna.  
 To Sowiński — krwią okryty,  
 Próżno wygląda pomocy;  
 Szaniec przez wrogów zdobyty —  
 Męstwo uległo przemocy!

## III.

Na kilku żołnierzy czele,  
 Co z nim przysięgli umierać,  
 Szablą drogę sobie ściele,  
 Tysiącom chce się opierać.  
 W święcone mury kościoła  
 Cofa się wódz ze swoimi  
 I na szczupły kufiec woła:  
 „Gińmy, lecz gińmy wolnymi!”



## IV.

I zdumieni niewolnicy<sup>1)</sup>:  
 „Zdaj się! — mówią — nie wależ z nami!”  
 A on im z okien świątnicy  
 Odpowiada wystrzałami.  
 Biegną tłumy rozszalone,  
 Nowa wściekłość je zagrzała, —  
 Już drzwi kościoła skruszone,  
 Ale walka nie ustała.

## V.

Bronią się rycerze śmieie —  
 Lecz co chwila ich nie staje:  
 Wreszcie wszyscy wyginęli —  
 I Sowiński sam zostaje.  
 Sam został: — lecz, nieugięty,  
 Przed przemocą się nie zniża.  
 Poszanowaniem przejęty,  
 Dowódzca wrogów się zbliża:

## VI.

„Krzyżcz: „pardon!”<sup>2)</sup> — zdalego wzywa —  
 Szaleństwem jest śmiałość taka!”  
 Sowiński pierś mu przeszywa: —  
 „Oto jest pardon Polaka!”  
 To były słowa ostatnie  
 Zsiwiątego bohatera, —  
 Zginął za swobody bratnie:  
 Jak syn wolności umiera!

Konstanty Gaszyński

<sup>1)</sup> Niewolnikami autor nazywa Moskali, nad którymi prawo życia i śmierci posiada car despota.

<sup>2)</sup> Pardon — wyraz francuzki — znaczy tyle, co: przebaczenie. — Według prawa wojny, wróg musi darować życie temu, co broń przed nim złoży i o pardon, to jest o przebaczenie błaga — w niewolę go jeno bierze.





## LIŚĆ DO „ZORZY“.

*Zabno. Październik 1901.*

Droga »Zorzo«!

Dawno już zbierałem się napisać parę słów uznania dla Ciebie, »Zorzo«, lecz będąc młodym (mam zaledwie lat 20) i nieuczonym, nie śmiałem tego uczynić, w myśli że już więksi odemnie dawno to uczynili.

Więc choć tak późno, widząc Twą tak wielką życzliwość dla ludu, wziąłem się do napisania paru słów czci i uznania dla Ciebie, »Zorzo« droga.

Mówię droga, bo chociaż tak tania, jesteś sercu memu najdroższą, bo skarby nieprzebrane czerpać mogę z Ciebie i wznosić się przez to mogę umysłem swym ponad poziom ciemnoty i niedoli, które goszcza jeszcze w naszej Ojczyźnie nieszczęśliwej.

Więc cześć i sława Tobie, »Zorzo«, za tak pouczające i piękne opowiadania, cześć Ci za życzliwość dla ludu, tak szczerą, która przebija z każdego słowa, w Tobie zawartego. Czytając Cię, uczuвам wielką radość i myśl moja wre i wyrывa się ku owym czasom, kiedy Ojczyzna nasza, nie będąc zakuta w kajdany, była wolną i szczęśliwą.

— Czytając artykuły p. t. »I zadzwonił na Wawelu«, lub »Tadeusz Rejtan« — przejmuję się czynami tych bohaterów, lecz zarazem boleję, myśląc nad upadkiem naszej Polski ukochanej.

— I uczę się od Ciebie, »Zorzo«, kochać wszystko, co piękne i szlachetne, bo ożywcze Twe promienie zdolne są przebić najgrubsze fale ciemnoty, — zdolne są dodać

otuchy do pracy nad dobrem naszej Ojczyzny, jak również dodajesz »Zorzo« nadziei do lepszej przyszłości.

Więc będąc Twym szczerym wielbicielem, proszę Cię, racz przyjąć, »Zorzo«, wyrazy czci i uznania ze szczerego serca mego płynące i racz uwzględnić moją małą prośbę, którą mam do Ciebie, »Zorzo« droga.

Gdy byłem w roku zeszłym w Warszawie, widziałem starca-kalekę, który, przyszedłszy w podwórze jednego domu i obejrzawszy się uważnie, czy kto zły nie podsłuchuje, począł deklamować wiersz o bohaterstwie jen. Sowińskiego. Jenerał ów mianowicie, obkoczony przez Moskali w kościele na Woli, bronił się do ostatnich sił i nie poddał się wrogom, aż wyczerpany, zginął u stopni ołtarza.

Wiersze te podobały się słuchającym ogromnie, a starcowi kalece obficie popłynęły »grosze« do jego podartej czapki.

Więc proszę Cię, »Zorzo«, wydrukuj ów wiersz, bo chciałbym go umieć, a rzecz niemiłej, że wszystkim czytelnikom bardzo się spodoba. Pamiętam, niestety, jeno dwa wiersze, które brzmią :

Sowiński pierś mu przeszywa —

»Oto jest pardon Polaka!«...

Pozdrawiam całą Szan. Redakcję »Zorzy«, a szczególnie p. Marję Wystouchową, której składam serdeczne dziękczynienie za opowiadania z dziejów Polski i ślę »Szczęść Boże« w dalszej pracy.

Szczery i życzliwy przyjaciel »Zorzy«,

*Adam Gębala z nad Sanu.*





## Pogrzeb.



d chałup z pod lasu gromada ludzi plynie powoli, rozsuwając miążki śnieg z pod nóg. Czterech tęgich parobczaków trumnę czarną niesie na ramionach. Wszyscy na mróz głowy poodkrywali i nuca półgłosem jakąś smętną, grobową pieśń o czyscu...

Na białem tle, ta czarna masa, jak cementarz posuwa się powoli... Czasem melodia popłynie ku sinym lasom, czasem poważny, basowy głos dzwonu o pobliską górę się odbije, to znów rozdzierający płacz kobiety, idącej za trumną, przedrze powietrze, a »cała wioska, spokojna, cicha, weselna szata białą przybrana, śnieżystą piersią w słońcu oddycha, rzędami drzew i miedz poorana...«

Przed kościołem stanęła gromada ludzi. Naprzód trumnę ponieśli młodzi do kościoła, za nimi posunęli się starzy, kobiety, dorośli i niedorośli... Nieduży kościółek wnet zapełnił się zgromadzonymi na pogrzeb.

Grabarz, z pomocą parobczaków, postawił trumnę na katafalku.

Organista zaintonował żałobną pieśń i ksiądz w czarnym ornacie wyszedł do ołtarza... Po skończeniu mszy św. rozpoczęły się wilje. W jednej ławce ksiądz wikary, w drugiej organista, śpiewali monotonicznie naprzemian psalmy pogrzebowe. A lud płakał, gdy się jegomość z organistą przemawiali...

Spory pagórek centów piętrzył się na tacy przed trumną... To lud na ofiarę złożył... Przecie cent, to nie pieniądz, a nieboszczykowi się jako tako dopomoże...

I skończyło się nabożeństwo. Trumnę wynieśli z kościoła; za nią szedł zwolna ksiądz w żałobnej kapie, dookoła zaś postępował lud rozplakany...

Zatrzymali się nad grobem... Ksiądz pokropił i rzucił drewnianą łopatką parę grudek zmarzłej ziemi na trumnę. Lud po-

czął szlochać głośno... Kobieta-wdowa z krzykiem rozpaczy rzuciła się ku trumnie, objęła ją czerwonymi od zimna rękami i, zawodząc głośno, całowała zimne deski...

— Nie mogliście się w domu wypłakać! — odezwał się jegomość. — Tu już krzyczeć darmo!... — Zaintonował »Salve« i, uważając obowiązek za spełniony równoważnie do zapłaconej sumy, oddalił się szybko, bo mróz nie żartował.

A kobietę ledwo zdolał znajomi odebrać od grobu... Ozcymali jej, jak mogli... a ona ostatkiem łez zęgnęła nieboszczyka.

Lud otoczył grób kołem i począł nucić rzewnie, cicho pieśń nagrobną:

»Pogrzebmy to ciało w grobie —  
Niechaj tu spoczywa sobie...  
Albowiem z ziemi stworzone,  
W ziemię będzie obrócone...«

Straszną prawdą, silniej już zabrzmiała druga zwrotka:

»Możny i ubogi równy —  
Nikt od śmierci nie wymowny;  
Któż wie, na kim kolej stoi?  
Przeto niech się każdy boi...«

Lud rozśpiewał się, rozplakał i nie spieszono mu się do domu, choć mróz szczypał twarz i oczy... Gdy skończył jedną pieśń, zaraz rozpoczynał drugą, a co która, to rzewniejsza żałobną melodią... Jakby głos skarżącego się z trumny, leciał śpiew po drzewach:

»W tę podróż odchodzę... nie biorę nic z sobą —  
W postaci okryty śmiertelną żałobą...  
Tylko cztery deski, z siedmiu łokci szata —  
To cała zasługa z mizernego świata...«

To znów podzielili się młodzi i starzy na dwa chóry żałobne, chóry umarłych i żywych. Młodzi pytają grobów:

»Zatrzymajcie się — rozpytajcie się:  
Czyje jęcza prochy?...  
O syny, córki!... — co te pagórki,  
Co szepczą te lochy...«



A odpowiedź grobów płynie:

»Pomnęli nas — zapomnieli wczas  
I nie rzekli nam:  
Wieczny pokój wam !...«

I bolesną powtarza się skargą. A żywi pytają znowu

»Odezwijcie się — upomnijcie się,  
Smutne kostek jatki!...  
Nie zna was cudzy — krewni i słudzy,  
Nie znają was dziatki!...«

Odpowiedź umarłych, jak z grobów jękiem się wydobywa:

»Spimy głęboko... Już wasze oko  
Nie zobaczy nas,  
Chyba w sądny czas!...«

Pieśni się skończyły... Ludzie po cichu szeptali paciorki — i poczęli się rozchodzić w nabożnym milczeniu po cmentarzu... Każdy przecież chciał się i za »swoich« pomodlić — a nie było człeka, coby kogoś ze swoich tu nie miał...

Wreszcie ostatniego dziada mróz wygnał z cmentarza, i cisza była w zmierzchu drzew — wielka cisza grobów...

Władysław Orkan,





## BOHATERSTWO i ŚMIERĆ.

OPOWIADANIE Z 1831 R.



Na miejscu naczelnem dzisiejszej »Zorzy« znajdziecie, drodzy Czytelnicy, piękny wiersz, napisany na cześć bohatera Sowińskiego. Podaję go na życzenie przyjaciela naszej gazetki, p. Adama Gębali. Dla wyjaśnienia zaś tem dokładniejszego treści onej poezji, — a także dla złożenia hołdu Powstaniu Listopadowemu, którego siedmdziesiąta pierwsza rocznica przypada na dzień 29. tego miesiąca, opowiem w krótkich słowach o bohaterskiej walce, którą polacy stoczyli z wrogiem ojczyzny na jednym z przedmieść warszawskich, — na Woli.

Armja rosyjska, mając zamiar atakowania Warszawy, podsunęła się pod to miasto w nocy z dnia 5 na 6 września 1831 r. i wśród gęstej ciemności jesiennej otoczyła je ze wszystkich stron.

Armja ona była ogromna: liczyła razem piechoty i jazdy koło 83 tysięcy głów i miała 390 armat.

W Warszawie natomiast znajdowało się wówczas zaledwie 33 tysiące żołnierza. Z tych parę bataljonów pozostało w mieście, dla

utrzymywania porządku. Na szan-cach zaś do boju, stanęło trzydzieści jeden i pół tysięcy, a więc prawie trzy razy mniej, niż było wrogów. Bitność i bohaterstwo polskiego żołnierza byłyby jednak starczyły za liczbę i odniosły zwycięstwo, gdyby nie fatalne warunki w jakich walka się toczyła, — gdyby nie przeciwności.

Pierwszą z tych przeciwności był brak dzielnego wodza głównego, któryby mógł być objąć dowództwo nad waleczną wiarą i pokierować mądrze całym działaniem.

Jenerał Krukowiecki bowiem, który przywłaszczył był sobie wszelką władzę, był człowiekiem lichego charakteru, a duszę miał nikczemną, tchórzliwą. To też w dniu walki rozstrzygającej nie pomagał, ale szkodził raczej świętej sprawie.

Drugą przeciwnością, która spowodowała przegranę, było rozpowszechnione wśród wojskowej starszyny polskiej mniemanie, że nieprzyjaciel zwróci główne siły swoje nie na Wolę, lecz na inne przedmieście warszawskie, zwane Mokotowem.

— Wola — mówili nasi jenerałowie — ma najsilniejsze fortyfikacje, okopy, szan-ce, reduty, więc wrogowie na nią nie uderzą. Nie zechcą przecież brać wołu od rogów. Mokotów natomiast jest punktem najsłabszym. Więc Moskwa tamtędy wdzierać się będzie. Tam przeto, na Mokotowie, trzeba najwięcej żołnierza ustawić, najlepsze działa dać.

Rachuba ta, niestety, zawiodła! Nieprzyjaciel zwrócił główne kolumny ku Woli. A tam garnizon był szczupły, liczył zaledwie 1317 głów, — do skutecznej zaś obrony całego szan-ca trzeba było conajmniej 4 tysiące piechoty.

Pomimo sił tak szczupłych z naszej strony, walka trwała długo, mordercza i bohaterka, bo żołnierz polski umie bronić ojczyzny i za nią umierać, a pięknym przykładem świecili mu i niektórzy wodzowie, — w pierwszym rzędzie generał Sowiński.

Sowiński miał za sobą chlubną przeszłość rycerską. W 1812 r., podczas wojny Francji z Rosją, bił się walecznie w wojsku polskim, które dopomagało Francuzom przeciwko wspólnemu wrogowi. W wojnie tej dosłużył się rangi podpułkownika artylerji i utracił nogę: kula nieprzyjacielska urwała mu ją na polu bitwy...

Ani kalectwo jednak, ni wiek podeszły nie przeszkodziły Sowińskiemu walczyć za ojczyznę w powstaniu Listopadowem z r. 1831. Młodzieńczy ogień gorzał w jego piersi, a chęć służenia Polsce zdwajała siły. W dniu 6 września sam żądał od wyższej władzy wojskowej, aby mu powierzono obronę szańca na Woli, który był punktem najważniejszym, a zarazem najniebezpieczniejszym. Może przeczuwał w sercu, że to bój jego ostatni, że w dniu tym bohaterska śmierć uwieczni żywot pełen chwały, bo ci, co widzieli go wówczas, opowiadają, że wyglądał, niby prorok natchniony. Z czarnych jego oczu sypały się iskry zapалу, czoło, srebrnym włosem zwieńczone, jaśniało pogodą, wyniosła postać rycerska prostowała się dumnie, śmiało, zwycięzko!

— Jenerale — mówił do sławnego Dembińskiego, który w pierwszych zaraz chwilach bitwy pośpieszył na Wolę, aby zbadać jej środki obrony — jenerale, żałuję dziś bardziej, niż kiedykolwiek, mojej nogi, gdyż dzisiaj byłaby się ona najlepiej ojczyźnie przydała. Bądź jednak spokojny: łatwo mnie nie wezmą!

A silnym słowem rycerza polskiego towarzyszył grzmot armatni. Dwieście dział grało i szedł jęk po ziemi naszej, szanice krwią jęły się farbować, śmierć szerokie roztoczyła dookoła panowanie...

Po dwóch godzinach morderczego ognia generałowie rosyjscy dali hasło do ataku. — Ura! ура! — brzmia w powietrzu dzikie wrzaski i kolumny moskiewskie, pewne zwycięstwa, rzucają się na nasze szanice, ale tu czeka ich bój zacięty...

Całe kolumny dwóch generałów, Geismara i Sulimy, uderzają na szaniec 54., którego bronili jeno dwie kompanje polskie i przez długi czas zdobyć go nie mogą, — przez długi czas krwawe bagnety polskie spychają napadających z wałów do fosy. Wdarli się nakoniec, wydają okrzyk zwy-

cięstwa,,. Zawczasie! bo oto w samym szanicy wre bój zażarty... A gdy wszystkie środki obrony zostały wyczerpane, wtedy komendant szanica, Ordon, cisnął zapalony lont w magazyn z prochami i wysadził redutę\*) w powietrze. Wraz z gromadą nieprzyjaciół, zginęła i garstka Polaków, ale nie poddała się, nie unżyła przed najeźdźcą...

Wspaniały ów czyn Mickiewicz uwiecznił we wspaniałym wierszu pod tytułem: »Reduta Ordonu«.

Chlubną walkę toczy i szaniec 57. Broni go zaledwie stu trzydziestu siedmiu Polaków, uderza nań sześć bataljonów moskiewskich, a jednak nikt nie myśli o poddaniu się, o cofnięciu choćby na krok jeden. Żołnierz polski gardzi śmiercią, walczy do ostatniej kropli krwi, pada ze świętem imieniem ojczyzny na ustach. A kiedy znalazł się młodzieniaszek jakiś, jeden jedyny, co o pardon zawołał, własny oficer spada go przeszył, aby przed hańbą ustrzedz.

Ale cóż poradzić mogło bohaterstwo, choćby największe, przeciwko sile przeważnej nieprzyjaciela, zwłaszcza, że inni generałowie, prócz Dembińskiego, nie spieszyli, przez zbrodniczą zaiste lekkomyślność, na odsiecz zagrożonej Woli?...

I oto wróg zdobywa, piędź za piędzią, pole bitwy, krwią zbluzgane, trupem okryte... Co żyje jeszcze, co uszło bagneta, skupia się pod wodzą mężnego Sowińskiego, za kościołkiem przedmiejskim, który redutę bohatera zasłaniał.

I znowu wszczyna się bój krwawy, rozpaczny — na śmierć, nie na życie!...

Po trupach braci, Sowiński przedziera się wreszcie z garstką swoich do kościoła. Tu zaszuwa drzwi, wznosi wał obronny z ławek, sam umieszcza się u stóp ołtarza i mężnie odpiera natarcie wroga.

Ale ostatnia ta walka, a raczej rzeź, krótką zaledwie miała trwać chwilę. Żołnierze polscy padają, jeden po drugim, z piersią przeszytą ostrzem bagnetów. I oto nad ciałami poległych widnieje już tylko wyniosła postać Sowińskiego. Żołnierze moskiewscy, upojeni zwycięstwem, zdziczali od mordu, rzucają się ku niemu i nagle stają, jak wryci. Z twarzy bohatera szedł taki blask niezłomnej woli, męstwa, ofiary, że podniesione ramiona żołdaków opadły bezwładnie. Nie śmieli uderzyć.

\*) Reduta — kwadratowa fortyfikacja, otoczona głąboko fosą, wałem i ogrodzeniem, najeżona działami.

— Proś o darowanie ci życia. Wołaj: Pardon! — wrzasnął nareszcie któryś z moskali, odzyskując przytomność.

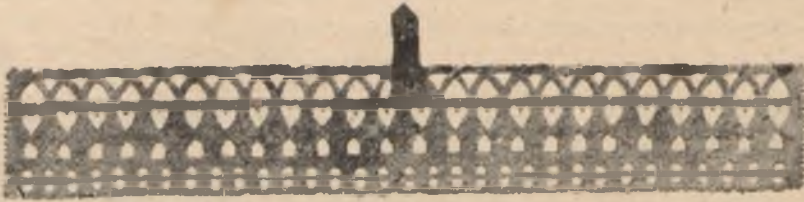
Po twarzy Sowińskiego przemknął płomień gniewu. On miałby się ukorzyć, prosić o łaskę!..

— Oto masz pardon Polaka! — zawołał z uniesieniem, topiąc żelazo w pierś wroga.

Były to ostatnie jego słowa. Runął u stóp krzyża, znaku męki, przebity ostrzem dzieściciu bagnatów...

I śmierć jednak okrutna nie zdołała zgasić w nim rycerskiej wspaniałości. Znać było, że w tych kształtach piękna mieszkała dusza. »Spokojną twarz Sowińskiego, bohaterskie jego rysy podziwiali wszyscy« — powiada dowódca rosyjski w raporcie swoim z krwawych walk tego dnia krwawego.....

*M. Wystouchowa.*



## Z ziemi śląskiej.

V.

**S**owa leci ku dolinom i unosi nas coraz dalej i dalej od gór kochanych.

Nie sądźcie jednak, Czytelnicy mili, że sową w danym wypadku jest ów ptak o zakrzywionym dziobie, który — dla dużej głowy zapewne i oczu, co widzą nawet w ciemnościach, — uważany był przez starożytnych Greków jako symbol mądrości. Gdzieżby tam! — Sową na-

zywa lud śląski pociąg lokalny koszycko-bogumińskiej kolei, którego powolny ruch przypomina niski, ociężały lot sowi, a basowy gwizd ma pewne podobieństwo do hukania tego nocnego drapieżcy.

Ślązacy lubią swoją »sowę«, i najchętniej nią jeżdżą, bo jest tania i zatrzymuje się przy każdej niemal wiosce. To też słuszną jest i nazwa panoramy, nadawana temu pociągowi, przez mieszkańców miast. Jak w panoramie bowiem przesuwają się tu przed okiem jadącego postaci przeróżne. Oto i teraz jedzie z nami Słowak z sąsiedniej Czaczy, o jasnym włosach tak pię-

knych, że nie wiadomo do czego przyrównać ich barwę, chyba do stężonych promieni słonecznych, bo złoto w zestawieniu z niemi raziloby żółtością, — kłos dojrzałej pszenicy wyglądałby szaro, — a włókienka lniane — błademi.

Obok Słowaka mieści się młoda para Jabłonkowiek. Ci znowu mają włosy, jako pióra krucze. Jest w ich twarzach coś, co przypomina Węgrów. Ona zwłaszcza oczy ma czarne, gorące, a gęste, zbiegające się pod czołem brwi, dzielą śliczną twarz rysem żalobnym, nadając wyraz trochę surowy górnej jej części. Natomiast różowe usta młodej kobiety uśmiechają się wesoło, słodko i tworzą w uśmiechu czysto słowiańskie dołki na różowych policzkach.

Mąż uroczej Jabłonkowiek zwraca znowu uwagę strojem swoim, nadzwyczaj bogatym. Zapięta pod szyję kamizelka połyskuje dwoma rzędami okrągłych srebrnych guzików. Takież same guzy, ze zwieszającymi się od nich pętlami, zdobią przód kurtki, naszytej taśmami, świecącej łańcuchem, w rybią łuskę wyrobionym, — a dół jasno granatowych, »cyfrowanych« sznurkiem spodni, znika w wysokich, marszczonych butach o jaskrawem lamowaniu z saffjanu.

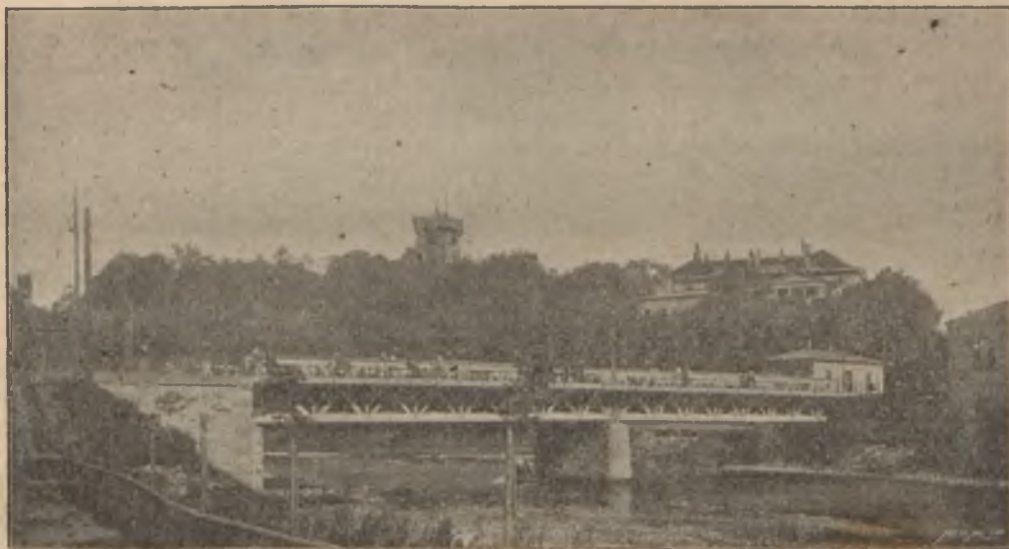


Zupełne przeciwieństwo ze strojnym, jako paw, Jabłonkowiec tworzy sąsiad jego, młody góral z wytworną prostotą ubrany. Strój górala, lekki, swobodny, zgrabny, jak jego właściciel, nie jest jednak całkiem pozbawiony ozdób. Śnieżno białą, w deseń tkaną koszulę, obrzeża u szyi, po obu stronach rozporoki i u dołu szerokich rękawów haft, szaremi niemi wykończony. Pod rozporoką zaś widnieje kwadracik, czarnym jedwabiem wyszyty, a na nim dwa złączone ze sobą serduszka. Od czarnego sukna kamizelki (bruclika), żywo odbijają błyszczące guziki i kistki z czerwonej i zielonej włóczki, a pączek różany, zatknięty za wstążkę kapelusza, świadczy, że góral musiał przyglądać się samemu sobie, jeżeli nie

rozsiadły się wioski, miasta, osady fabryczne.

»Sowa« dopada właśnie głośnego Trzyńca. W płomienistej atmosferze trzyńceckich walcowni, giserni, hamerni, uwija się kilkutyśięczny zastęp robotników i kosztem nerwów, mięśni, krwi własnego ciała — przetwarza rudę żelazną w kraty, łańcuchy, szyny kolejowe, walce, lewary, piece żelazne, za które to wyroby wpływa rok rocznie do kasy arcyksiężęcej komory więcej, niż pięć milionów koron.

Za Trzyńcem drobna szachownica gruntów górskich ustępuje z wolna miejsca szerokim, sławnym z uprawy łańom zamożnych rolników z pod Cieszyna. A wkrótce i sam



Wieża Piastowska w Cieszynie.

w rzadzie, to przynajmniej w potoczku i zobaczył, że mu z tem bardzo ładnie.

— Teraz za to my się przyglądamy i jemu i innym towarzyszom podróży i ożywioną prowadzimy z nimi rozmowę, aby skorzystać ze sposobności i zajrzeć — ile się da — w myśl i serce mieszkańców ziemi śląskiej.

Ale rozmowa z ludźmi nie zastania nam ślicznych obrazów natury, które migają w oknach wagonu. Dolina Olzy należy do bardzo pięknych, jeżeli nie najpiękniejszych gą Śląsku. Południowych jej krańców strzeżna malowane Beskidy, a nad wstęgą rzeki, — wśród łąk, gajów i łańow zbożowych —

Cieszyn ukazuje się nagle, jak cudo na tle gór.

Pięknie wygląda miasto w blaskach południowego słońca, lecz oko wędrowca biegnie najpierw ku wieży Piastowej, co wznosząc się na szczycie zielonego wzgórza, króluje nad całym Cieszynem, bo

..... choć z wieży  
W błękit nieba krzyż nie bieży,  
Lecz chorągiew tam szelesze,  
Przecież to jest wieża święta:  
Stare czasy ci pamięta  
I pamięta stare dzieje..

Tak śpiewa poeta śląski, Jan Kubisz, o zimnych głazach wieży. A serca ludzkie, gorące i żywe, czy pamiętają o czasach prastarych, kiedy to Śląsk, legendowym mieczem Chrobrego z Polską spojony, w jednej koronie chwały z nią chadzał? — Czy pamiętają o czasach, kiedy to — za cnoty rycerskie i obywatelskie jej synów — ziemię śląską mianem *S t a r e j P o l s k i* darzono?...

Na pytania powyższe lud śląski odpowiada pieśnią, która powstała tam, gdzie ucisk największy, gdzie bagnety pruskie usiłują zabić ducha Polski, — powstała na Śląsku Górnym. Oto słowa tej pieśni:

A jeśli Ciebie ja zapomnę,  
Ojczyzno moja, ziemio święta,  
To niechaj pomrą bezpotomnie  
Syneczki moje, pacholeta,

I Cieszyn i wieża Piastów zniknęły, ni-  
by widma senne, w błękitach i złocie skwar-  
nego południa. Zniknęli również z wagonu  
dawni towarzysze podróży: Jabłonkowie, góral,  
Słowak. Ich miejsce zajęły Wałaszki  
w pięknym stroju cieszyńskim, w jedwabnych  
chusteczkach, na klepaczu, to znaczy z tyłu  
wiązanych, a także Laszki z dolin w chu-  
steczkach z apastyrzonych, czyli w pół  
węzła pod brodą zadzierzgniętych.

Inna odzież, inne typy i krajobraz in-  
ny! — Gór niema już śladu. Dalekie,  
nikłe, błękitne horyzonty otwierają się przed  
wzrokiem, a zamiast rwących potoków, po-  
łykują tafle cichych stawów. Olza jeno, od  
której źródeł jedziemy, towarzyszy nam wier-  
nie, coraz szerszą, głębszą, ciemniejszą falą.

W Darkowie wysiadamy z pociągu  
i pieszo puszczamy się w dalszą podróż, do



Rynek Frysztański

I niechaj serce me bez wiary,  
Przygniecie brzemię i ciężary  
Ogromne!

A jeśli Ciebie stłumię w łonie,  
Ojczyzno mowo, to ułomne  
Me serce w bólu niech utonie,  
I niechaj się kurezy, wiarołomne!  
Niech ze szpon troska mię nie puści,  
Niech język przysechnie do czełusci  
Przy zgonie!

Piękna pieśń! I mocna! Nie zabiją jej  
bagnety pruskie, jak nie zabiją nieśmiertel-  
nego ducha, co płonie w piersi ludu ślą-  
skiego...

Frysztatu. Nie możemy się jednak oprzeć  
pokusie i wступujemy, dla obejrzenia, do za-  
kładu kąpielowego i do zamku, noszącego  
wiele obiecującą nazwę Raju.

Dobra Raj, odwieczna posiadłość ksią-  
żąt śląskich, przeszły w obce ręce dopiero  
w końcu szesnastego stulecia, po śmierci  
Fryderyka Kazimierza. Sprzedano je — wraz  
z sąsiednim Frysztatem — dla zaspokojenia  
licznych wierzycieli rozrutnego księcia. Obe-  
cny jednak właściciel, najmoźniejszy ze ślą-  
skich magnatów, hr. Larysz, Polak z pocho-  
dzenia, nie zbankrutuje z pewnością. Zbyt  
umiejętną ręką czerpie z bogatej skarbnicy  
ziemi śląskiej, aby wywłaszczenie mogło mu  
kiedy zagrozić.

Nie mało dochodu przysparzają mu też uzdrawiające źródła darkowskie. Woda owych źródeł więcej zawiera jodu i bromu, niż jakąkolwiek inną w Europie. To też lekarze przysyłają tu biedaków, najczęściej chorujących na skrofuły, wyrzuty skórne i tem podobne choroby.

Z pysznych alei grabowych, którei słusznie szczyli się park rajski, podążamy dalej wyborną szosą, wysadzaną po obu stronach kasztanami.

Nie dłuży nam się droga wśród pięknej okolicy, radujemy się jednak srebrzystym dźwiękom dzwonów nieszpornych, które zapowiadają bliskość Frysztatu.

Frysztat, który był przez pewien czas drugą stolicą Piastów cieszyńskich, posiada dotąd zabytki, mówiące o świetnej przeszłości. Jako pamiątki najgodniejsze uwagi, wymienić trzeba starożytną wieżę w rynku, z wykutym w kamieniu herbem Piastów i prastary kościół parafialny, którego budowa, rzeźby i obrazy należą do najciekawszych dla miłośników starożytności.

Wspomnienia dawnych czasów, blade cienie księżnej Anny, Katarzyny, Fryderyka Kazimierza, mieszkańców niegdyś Frysztatu, pierzchają jednak nagle na widok dziarskiego ludu wiejskiego, który oto wysypuje się barwną, wesołą gromadą z murów odwiecznej świątyni...

*M. Wystouchowa.*



## Nasze obrazki.

Chcę powiedzieć słówko małe o paru obrazkach, które zdobią pierwsze stronicie dzisiejszej »Zorzy«, a same się nie tłómaczą.

Owoż ta postać konnego rycerza zaraz na początku, z mieczem wzniesionym w rękę, w otoczeniu liści paprociowych, to herb Litwy — to tak zwana Pogoń litewska.

Od połączenia Litwy z Polską, dawniej niż przed pięciu wiekami, wskutek małżeństwa wielkiego księcia litewskiego, Władysława Jagiełły z królową polską Jadwigą, — od połączenia więc Litwy z Polską wspólnym herbem obu zjednoczonych narodów stał się Orzeł biały w polu czerwonym, a z prawej strony srebrna Pogoń na takim samym tle krwawej barwy.

Odwiecznemi więc barwami naszemi narodowemi jest czerwona z białą. Chorągiew zaś trójkolorowa, biało-czerwono-niebieska, ukazała się u nas po raz pierwszy w rewolucyjnym roku 1848, jako naśladownictwo Francji, która używała tych kolorów w cza-

sie wielkiej rewolucji z 1793 r. i tem samem nadała im symboliczne znaczenie.

Brama cmentarna, którą widzimy na 166 str. jest dokładnym wizerunkiem bramy, wiodącej na cmentarz Łyczakowski — najwspanialszy z trzech cmentarzy we Lwowie — w dzień zaduszny, kiedy tłumy ludu cisną się do niej.

Spoczywają na tym cmentarzu prochy wielu znakomitych mężów, jak: Karola Szajnochy, głośnego historyka, — Artura Grottera, sławnego artysty-malarza, — Seweryna Goszczyńskiego, poety, — Ordon, bohatera, który się wslawił w walce z wrogiem ojczyzny na przedmieściu warszawskim Woli, jak o tem czytaliście już, drodzy Przyjaciele, w artykule, pod tytułem: »Bohaterstwo i śmierć« — tudzież wielu innych zasłużonych.

O trzech innych obrazkach, przedstawiających pogrzeb, wieżę Piastową i rynek we Frysztacie, nie mam nic do powiedzenia w tem miejscu. Mówią o nich artykuły, do których są dodane.

Natomiast zwrócę uwagę na ozdoby, umieszczone pod artykułami: »Z ziemi śląskiej« i »Bohaterstwo i śmierć«.

Czytelnicy z Tatr, Podhala i gór śląskich poznają odrazu, że jedna z tych ozdób przedstawia rzeźbioną listwę łyżnika, — druga zaś cyfrowania z sosrąbu, czyli bala, biegnącego przez środek pułapu w świetlicy.

Daję te wzory w naszej gazecie, nie tylko dla tego, że są śliczne, lecz i dlatego, że świadczą o zamiłowaniu naszego ludu do piękna, że wskazują, jakim to artystą jest nasz lud, jak umie ozdabiać swoje siedziby.

Sławni malarze i rzeźbiarze czerpią obecnie ze sztuki ludowej, z wyrobów ludowych, wzory do najpiękniejszych sprzętów, naczyń, strojów. A podoba się to wszystkim, bo jest ładne i nasze, swojskie, rodzime, nie pożyczone od obcych.

M.



## ROZMAITOSCI

**Pomnik ku czci Kościuszki** stanie wkrótce w Ameryce, w Milwaukee. Projekt pomnika wykonał rzeźbiarz Mikołaj Broda. Będzie to jakby cała historia bohatera, wykuta dłutem. Pomnik bowiem przedstawi Kościuszkę, stojącego w stroju amerykańskiego oficera na granitowej skale, zmienionej w twierdzę. Jedną ręką Naczelnika spoczywa na armacie, pod którą rozciąga się mapa teatru wojny. W drugiej ręce Kościuszko trzyma lunetę, jak gdyby badał przed chwilą obóz angielski. U podnoża skały niewiasta Polka podnosi ku niemu sztandar narodowy. Z drugiej strony skały idą wypukłe rzeźby, które przedstawiają główne sceny z życia naszego wodza, a więc: złożenie przysięgi na rynku w Krakowie, bitwę Racławicką i t. d.

**Dwoma pomnikami** pragnie Galicja złożyć hołd pamięci Bartosza Głowackiego, chłopca-

bohatera. Jeden wzniesie mu patryjotyczne i postępowe mieszczaństwo lwowskie we Lwowie. Dla postawienia drugiego w mieście Tarnobrzegu, zawiązał się komitet z mieszczan i włościan okolicznych.

† **Michał Bałucki.** I znowu o śmierci zasłużonego pisarza muszę powiadomić czytelników „Zorzy“. W Krakowie odbył się właśnie 21. października pogrzeb ś. p. Michała Bałuckiego, autora licznych powieści, zaczął myślą owianych i wielu komedji, które były grywane we wszystkich teatrach polskich i szczerze rozweselały widzów humorem swoim i dowcipem.

Cały Kraków wziął udział w uroczystości pogrzebowej. Olbrzymi ten pochód sunął przez miasto na ementarz przy dźwiękach muzyki żałobnej, przy smutnym blasku światła gazowych, kirem przyćmionych.

Już zmrok zapadał, gdy karawan stanął na ementarzu. Od bramy wzięli trumnę Sokółowie, których ś. p. Bałucki był pierwszym prezesem i zanieśli ją nad otwartą mogiłę.

Po pięknym przemówieniu jednego z literatów i modlitwach całego tłumu, chór „Lutni“ raz jeszcze pożegnał drogie zwłoki, a grudy uświęconej ziemi ojezystej zmieszały się z kwiatami, przykrywając trumnę śp. Michała Bałuckiego.

**Co myślą wrogowie o niewiastach polskich?** Jeden z powiatowych inspektorów szkolnych pod Prusakiem, w Wielkim Księstwie Poznańskim, zauważył, zwiedzając szkołę, że chłopcy lepiej umieli po niemiecku, niż dziewczęta. Zdziwił się i zapytał nauczyciela, jak sobie ten objaw tłumaczyć? Nauczyciel wyjaśnił, że stara się szczególnie o nauczanie po niemiecku chłopców, ponieważż ci więcej tego potrzebują w późniejszym życiu, jako żołnierze i obywateli. Innego był zdania inspektor szkolny, który oświadczył: „Właśnie dziewczęta trzeba zniemczyć; one będą przecież matkami, a przejąwszy się duchem niemieckim, mówić będą z dziećmi i mężami po niemiecku!“

Któraś z gazet niemieckich, opowiadając o tej rozmowie z inspektorem, dodaje od siebie, że nie wierzy w powodzenie tego sposobu postępowania.

„Ze to nigdy nie nastąpi, wie każdy, kto zna Polkę — pisze owa gazeta. Właśnie Polka stawia zniemczeniu bierny wprawdzie, ale najenergiczniejszy opór. Choćby w szkole młodej Polce-włościance nieustannie tłumaczono, że jest Niemką, ona rzadko wprawdzie otwarcie przeciw temu będzie protestowała, w sercu jednak tem goręcej czuć się będzie Polką. Parobczacy polscy są pod tym względem inni.

Wielu z nich, gdy wrócą z wojska do swojej wsi, udają Niemców. Mówią łamaną niemiecką, noszą czapkę wojskową i krótki spencer, ponieważ uważają to za elegancję i są dumni z tego, że są innymi, aniżeli reszta mieszkańców wsi. Trwa to jednak niedługo, wnet wdziewają na siebie sukmanę i przestają używać niemieckiej — ponieważ dziewczęta nie o nich nie chcą wiedzieć i tak zwanego „niemca“ wyśmiewają. Włościanka-Polka nigdy z mężem lub dziećmi nie będzie mówiła po niemiecku. I dopóki matki polskie będą wychowywały dzieci, niema co myśleć o znieszczeniu Polaków, gdyż Polka jest opoką, o którą wszystkie usiłowania Niemców się rozbijają!

Zaiste, nie można było chyba dać Polkom chlubniejszego świadectwa!

**Piękny przykład poświęcenia.** W połowie października w przysiółku Dachy ad Ławryków, niedaleko od Rawy ruskiej, wszczął się w nocy pożar, którego ofiarą padły dwie zagrody włościańskie Marka i Pawła Sałów, wartości przeszło 2000 kor. Przy tem pożarze nadzwyczaj czynny brał udział w ratunku włościanin tamtejszy, Łuc Wichot, który z narażeniem własnego życia uratował życie pięciorgu dzieciom włościanina Marka Sały. Wichot sam odniósł przytem tak ciężkie poparzenia całego ciała, że mała jest nadzieja utrzymania go przy życiu.

**Nagrodę** pieniężną, a mianowicie po dwa dukaty, otrzymały tej jesieni na wystawie rolniczej w Wiedniu włościanki z Białej: Marja Pałta, Anna Piekielek i Wiktorja Szwed za wystawione okazy wspianiałej cebuli.

Medal zaś brązowy otrzymali za warzywa włościanie: Machocki z Uścia Solnego i Madej z Bolechowic.

Poszczęściło się też i nauczycielowi ludowemu z Dąbia, p. Stanisławowi Szarkowi, bo dostał aż cztery nagrody, a mianowicie: za plan ogrodu szkolnego medal brązowy; za modele do nauki ogrodnictwa medal srebrny, za owoce medal złoty, za warzywa i nasiona dyplom honorowy.

**Długowieczność.** W Czerniowiecach, na Bukowinie, żyją dwaj starcy, z których jeden, mandatarjusz, Józef Kwiatkowski, liczy obecnie 111 lat wieku, drugi zaś murarz, Piotr Hajwas, skończył w tych dniach 103 lat życia. Obaj starcy cieszą się wybornem zdrowiem i świeżością umysłu.

**W święto umarłych** przyjdzie do Was. Przyjaciele, ten numer gazetki. Smutno i rzeknie bywa ludziom na sercu w dzień zaduszy. Smutną jest przeto i „Zorza“. O pogrze-

bach opowiada i na obrazkach pokazuje żało- bne gromadki, spieszące na cmentarz, na który wszyscy pójdziemy, aby droгим zmarłym zanieść trochę kwiecia i światła, aby uczeić ich prochy gorącą łzą pamięci i żalu.

**Jubileusz ziemniaka.** W tym roku przypada właśnie dwuchsetletnia rocznica wprowadzenia ziemniaków do naszego kraju, więc warto poświęcić im trochę miejsca w „Zorzy“. Uprawa ziemniaków, które dziko rosły w górach Chilijskich, w Ameryce, bardzo się powoli przyjmowała. Anglja, a szczególnie uboga Irlandja, najwcześniej poczęły uprawiać ziemniaki. Później Belgja, Holandja, potroszę Włochy i Hiszpanja. W Niemczech, gdzie z czasem ziemniak zajął tak wybitne miejsce, dopiero pod koniec XVII. wieku rozpowszechniono sadzenie ziemniaków. We Francji jeszcze później, gdyż w połowie XVIII. wieku.

W Polsce były one w końcu XVII. wieku jeszcze wielką osobliwością: Jan III. Sobieski, spróbował po raz pierwszy ziemniaków w epoce pamiętnej odsieczy wiedeńskiej (1683 roku) — a jadł je pieczone u stołu gubernatora oswobodzonej stolicy cesarskiej, hr. Starhemberga — bardzo sobie oną jarzynę upodobał.

W jednym z listów, pisanych do królowej Marysieńki, wspomina o ziemniakach, nazywając je z włoska: tortuffi, a posyłając worek ziemniaków, zaleca, aby starannie te „kulki“ do wiosny przechowano, dla posadzenia w ogrodzie wilanowskim pod Warszawą.

Zdaje się, że ziemniaki nie doszły swego przeznaczenia, czy też przez niemiętną uprawę zmarnowano sadzonki, albowiem dopiero około 1690 r., więc w siedm lat po odsieczy wiedeńskiej, ogrodnik wilanowski, Paweł Wieniczarek, pod kierunkiem samego króla zasadził zagonek ziemniaków, z których doczekano się plonu.

Podobno nowa jarzyna, jak wspominają książki, nie znalazła uznania u biesiadników stołu królewskiego. A i sam Sobieski, zapadający coraz bardziej na zdrowiu, miał zalecone przez lekarzy unikanie ziemniaków, uznanych za potrawę ciężko strawną. Tym sposobem uprawa ziemniaków w ogrodzie wilanowskim, traktowana jako próba, została zaniechana.

Po zgonie Jana III. (1696 r.) został — jak wiadomo — wybrany królem August II. Sas, wielki lubownik ziemniaków, już wówczas w Saksonii, a zwłaszcza w okolicy Drezna, rozpowszechnionych. Codziennie na stole królewskim musiał być obok innych potraw półmisek ziemniaków smażonych w całości. Zdziwił się przeto August, że w Polsce tyle mu smakującej jarzyny nie znają. O ile więc prze-

bywał w Warszawie, ziemniaki na stół królewski sprowadzano z Saksonji.

Panowie polscy, zapraszani do stołu królewskiego, poczęli kosztować „zamorskiego przysmaku“ — tak bowiem jeszcze ziemniaki nazywano. Który zaś z magnatów gościł króla lub dygnitarzy saskich u siebie, musiał o ziemniakach pomyśleć. Popyt więc na ziemniaki zaczął się w Warszawie zwiększać. A żył wówczas ogrodnik, Jan Łuba, posiadający pod miastem ogrody owocowe i warzywne na terytorjum Mokotowa i Rakowca, sięgające granic Warszawy aż pod ogrody misjonarskie, inaczej „Świętokrzyskimi“ zwane. Ów Łuba, jako zięć Wieniczarka, ogrodnika wilanowskiego, zaznajomił się u teścia z uprawą ziemniaków. Sprowadził tedy z Saksonji kilka wozów dobrych ziemniaków i te na przestrzeni jednego morga w ziemi, doskonale nawiezionej, prawdziwie ogrodowej, zasadził na wiosnę w 1711 r.

Było to więc przed 200-tu laty, czyli, że w roku bieżącym mamy dwóchsetletni jubileusz pierwszej na większą skalę uprawy ziemniaków w Polsce. Być może, iż i gdzieindziej odbywały się próby sadzenia ziemniaków, ale faktem jest, że na targu warszawskim po raz pierwszy w jesieni 1701 roku ukazały się ziemniaki, dostarczone z ogrodu Jana Łuby. Znać ogrodnik ten miał z nowej jarzyny duże zyski, kiedy w następnym r. 1702 zasadził już pięć morgów.

Ziemniaki jednak nie znajdowały zbyt wielkiego rozpowszechnienia. Gotowane, czy pieczone pojawiały się na stołach magnatów i szlachty jako modna królewska potrawa, ale ogół sztydził sobie z tego przysmaku.

Ci, którzy poczęli uprawiać ziemniaki na większą skalę, jako pokarm, mający zastępować groch, kaszę lub kluski, znajdowali wśród służby i czeladzi dziwne uprzedzenie do nowej jarzyny. Tak n. p. na Podlasiu około Łukowa, zdarzył się wypadek buntu służby wiejskiej w majątku któregoś z Cieciszowskich, jedynie z przyczyny dawania ziemniaków na wieczerzę i to nie codziennie, ale dwa czy trzy razy na tydzień.

A dziś niema wsi i miasta, gdzieby niezamożny człowiek, zapytany, czyby się wyrzekł ziemniaków — nie odpowiedział: Ż głodubyśmy pomarli bez ziemniaków.

Właśnie lata nieurodzajów, tak zwane „głodowe“, w końcu zaprzeszłego i początkach ubiegłego XIX. stulecia, najwięcej się przyczyniły do rozpowszechnienia ziemniaków. Są przecież tysiące ludzi, nie jedzących chleba, a zastępujących go ziemniakami.

Drogoceenna to jarzyna, ale przy jednostronnem odżywianiu się ziemniakami, pokarm ów wpływa źle na zdrowie.

Dlaczegoż jednak Niemcy, spożywający tyle ziemniaków, są zdrowi i silni? Bo kraszą je obficie i obok ziemniaków jedzą dużo wieprzowiny. A jak są za ziemniaki wdzięczni, dowodzi fakt, że w r. 1853 w Offenbergu wzniesli pomnik anglikowi Drakemu za sprowadzenie ziemniaków do Europy.

Nadmienimy jeszcze, że temuż Drakemu przypisują i sprowadzenie ziela tytoniowego. Chyba za ten prezent, nawet nałogowi palacze, pomnika angielskiemu żeglarzowi nie postawią.



## Řady gospodarskie.

**Podsukbywanie gęsi.** Istnieje u nas szeroko rozpowszechniony zwyczaj podsukbywania gęsi, dla uzyskania nihy to większej ilości puchu. Zwyczaj ten należy zwalczać, co sił, jako zły i szkodliwy, — podwojnie szkodliwy. Przynosi on szkodę gosposi, po pierwsze tem, że psuje jej serce. Sprawiając okrutny ból żywemu, bezbronnemu stworzeniu, gosposia przywyka do wyrządzania krzywdy, staje się nieczuła na czyje cierpienia. — Po drugie, naganny ów zwyczaj przynosi uszczerbek i w majątku, a to takim sposobem: odarta z puchu gęś cierpi, choruje przez jakiś czas i chudnie. A gdy wróci do zdrowia, potrzebuje daleko więcej, niż zwykle, żywności. Zboże, które spożyje, nim wróci do pierwotnego stanu, kosztuje kilka razy tyle, co owa garstka wydartego puchu.

A więc dajmy sobie słowo, miłe gosposie, — jako nigdy już nie będziemy podsukbywać gęsi. — Czy zgoda?

**Studzienina z nóg.** Na jesieni nie brak nawet i po wioskach nóg z zabitych cieląt, wieprzów i wołów. Więc może przyda się komu przepis na studzieninę, czyli — jak po-

wiadają w innych stronach — galaretę lub też trzęsionkę z nóg.

Przyrządza się tę potrawę w sposób następujący:

Odcięte nogi należy sparzyć wrzącą wodą, oczyścić starannie nożem z sierści, rozrąbać siekierą kość, wypłukać, włożyć w garnek, nalać zimną wodą, dać parę główek cebuli, ząbek czosnku, kilkanaście ziarenek pieprzu, trochę bobkowego liścia i postawić przy ogniu, niech się warzy.

Warzyć się nogi muszą długo: wieprzowe i cielęce koło 3-eh do 4-eh godzin, a wołowe we dwoje dłużej. To też można je warzyć przez parę dni podczas przyrządzania obiadu, aby uniknąć osobnego wydatku na drzewo.

Skoro mięso na nogach tak zmięknie, że można je będzie kłuć patykami, trzeba je wyjąć na deskę, oczyścić z kości i pokrajać na drobne kawałki. Zaczem wyłożyć na miskę, zalać precedzonym rosołem, w którym się gotowały i wynieść na chłód, aby zastygły. Gdy rosół pocznie się ścinać, trzeba parę razy studzienę dobrze łyżką wymieszać, aby mięso nie osiadło jeno na dnie miski, lecz aby cała studzienina była równie gęsta.

Studzienina jest bardzo pożywna i daje się jadać z ziemniakami. Wybornego smaku dodaje jej też ocet. A więc zaraz tu powiem, jak przyrządzić doskonały ocet u siebie, w domu.

**Ocet.** Do czystej baryłki wlać — dajmy na to 15 litrów wody rzecznej. — nie ze studni — uwarzonej i wystudzonej. Do tej wody wlać szklankę dobrego miodu, kwaterek spirytusu i wsypać sporą łyżkę tłuczonego winnego kamienia, który sprzedają w każdej aptece. Uczyniwszy to, należy baryłkę dobrze zaszpuntować i postawić w ciepłe, niedaleko pieca. Po pewnym czasie, po trzech, czterech tygodniach, trzeba skosztować i jeżeli ocet będzie już kwaśny, wtedy można utoczyć pełną flaszkę, a do baryłki dolać tyleż samo wody, przewarzonej i ostudzonej. Po jakich dziesięciu dniach, albo i wcześniej, gdy ocet ponownie skwaśnieje, można znowu utoczyć go w butelkę, a do baryłki dodać tyle samo wody zimnej, ale koniecznie warzonej.

Jeżeli się zawsze będzie tyle dolewać wody, ile odlewać octu, to baryłka dostarczać będzie przez lat kilka tego płynu. Trzeba jeno pamiętać, aby od czasu do czasu dolewać do niej kwaterek spirytusu.



## Odpowiedzi od Redakcji.



*Do Szanownych Czytelników za morzem, w Paranie.* Daleko jesteście, mili Czytelnicy: dzieli nas od obcej ziemi, którą zamieszkujecie, nie siedm gór i nie dziewięć rzek, ale więcej, — daleko więcej! A jednak doszła mi wiadomość, że „Zorza“ Wam się podoba, że czytujecie ją radzi. O dzięki Wam za to, nieznan, ale drodzy Bracia! Niech ta mała gazetka przypomina Wam polskie brzozy i świerki — i kłosa naszych zbóż i zapachy siana! Niech nie da zapomnieć o braciach pozostawionych i o tej chacie ubogiej, ale przez ojców Waszych stawianej, kędy „nad kominem, het wysoko, takie nieba jasne łono, jak nieboszczki matki oko!“ — Niech nie da zapomnieć o Polsce, Ojczyźnie drogiej! I my tu pamiętamy o Was — i myślimy często i życzymy Wam wszelakiej pomyślności!

*Do Czytelników, odlajających służbę wojskową.* Tyle listów nadeszło do redakcji „Zorzy“ z pożegnaniem od młodych Przyjaciół, którzy zostali powołani na dwa miesiące do wojska, że trudno — dla braku miejsca — odpowiedzieć każdemu osobna. Więc, przyjmijcież, drodzy, wszysej razem podziękowanie za pamięć — i życzenie, bardzo szczerze, aby słota jesienna nie wpłynęła źle na Wasze zdrowie. Jest jednak w tem oderwaniu Was od domów i dobra strona: oto towarzysze z koszar, czyli z kasarni — jak tu mówią — usłyszą niezawodnie z ust Waszych nie jedno słowo, które zbudzi w nich nowe myśli, nowe uczucia... Bo gorliwy siewacz sieje, gdzie się jeno da!

*P. Ludwik Ganczarski w Poroninie.* Tak się raduję, tak szczerze raduję z tego, co mówicie o sobie, miły Czytelniku! Szczęść-że Wam Boże w tej ważnej pracy! — A za wierszyki to ślicznie dziękuję! Dam je do „Zorzy“ z pewnością, bo mówią prawdę i jaką jeszcze! Wszystkich dzielnych braci-górali z Poronina pozdrawiam z całego serca.

*P. H. R. w Sanoku.* Za życzliwość i pamięć o gazecie dziękujemy. „Na czarnem tle“ — pomimo zalet — nie nadaje się do „Zorzy“, a tem mniej do numeru świątecznego. Za czarne tło i postaci rysujące się na niem. Rada do-



bra, ale nie wykonalna, — a czemu — odgadnąć nie trudno!

*Szanowne Koło Szkoły ludowej w Tarnopolu.* Na wskazane adresy posyłamy. Za życzliwość i zaufanie dzięki szczerze.

*Anna Fuchs w Ujsotach.* Wielką przyjemność sprawił mi list, taki serdeczny i tak pięknie napisany. „Zorzę“ z zeszłego roku wysłałiśmy natychmiast, aby rozweselała ona samotność w puszczy leśnej. Gdyby jaki numer nie doszedł kiedy, proszę jedynie na zwykłym kawałku papieru napisać: Nie otrzymałam takiego to a takiego numeru „Zorzy“ — potem zaadresować, dodać u góry: „reklamacja“ — i oddać na pocztę bez marki i koperty. Reklamacje są wolne od opłaty pocztowej. Dziękuję raz jeszcze za życzliwość i życzę wiele szczęścia na nowej siedzibie, w życiu nowem!

*Szanowne Stowarzyszenie robotników polskich „Siła“ w Wiedniu.* „Zorza“ z wielką radością spieszy zawsze na wezwanie do Czyteli i Stowarzyszeń, bo tam liczne znajduje grono, a lubi wesoło i szczerze się zabawić wśród życzliwych osób. A więc i w progi „Siły“ wstępować, ucieszona wielce, wita Czytelników i życzy im wszelakiego dobra, a najbardziej siły ducha i ciała!

*P. Zuzanna Śliwka w Bystrzycy.* „Zorzę“ posyłamy na zlecenie z Krakowa — od kogo to, miła Czytelniczka zgodnie łączno. Zamiłowanie do historii polskiej przynosi wielką chlubę. Cieszymy się i pozdrawiamy.

*P. Wojciech Zawada w Dąbrowicy.* Bardzo proszę o powiadomienie, jak się ułoży ostatecznie sprawa. Jeżeli w Dąbrowicy — to potrzebna będzie mała biblioteczka. List pocztą wysłany przed paru tygodniami.

*Marja Peczka z pod Jarostawia.* Gazetka nasza umieszcza opowiadania historyczne w każdym prawie numerze nie tylko dla tego, że się one Czytelnikom podobają, lecz i dla tego, że każdy człowiek musi koniecznie znać dzieje swego narodu, zwłaszcza jeżeli ów naród, jak nasz, w niewoli pozostaje.

*Do Szanownej Czytelniczki z nad Olzy.* Pieśń Jana Kubisza o Olzie słyszałam raz jeden tylko. Czytał mi ją przed kilku laty ś. p. Jan Górniak w Sibicy. Nie dobrze jednak pamiętam, było to bowiem po dniu obfitym w silne wrażenia. Gdyby jednak kto z Czytelników na Śląsku nadesłał ją, powtórzyłabym chętnie w naszej gazecie.



## Od Administracji.



Ten numer listopadowy naszej gazetki posyłamy nie tylko do Was, drodzy Czytelnicy, lecz i do setek osób nieznanych. A czynimy to, aby dać im poznać „Zorzę“ i zachęcić do jej czytania. — Przy tej sposobności dziękuję gorąco Przyjaciołom, którzy z prawdziwym poświęceniem i niestrudzoną gorliwością rozpowszechniają gazetkę. Bystrą myślą, szczerem sercem zrozumieli i odczuli ci zaci krzewiciele oświaty, jakie cele stawia sobie „Zorza“ i dopomagają jej dzielnie, a z miłością i wiarą dla dobrej sprawy. Słodko pracować w gronie takich Pomoeników i dzięki im za to!

Wszystkie numery „Zorzy“ z 1900 roku, ozdobione licznymi i pięknymi obrazkami, kosztują wraz z przesyłką **20 centów**.

Wszystkie numery „Zorzy“ z roku 1901 wraz z tym, który wyjdzie w grudniu, kosztują wraz z przesyłką **32 centy**.



Czytelnicy „PRZYJACIELA LUDU“, wychodzącego we Lwowie, otrzymają „ZORZĘ“ za opłatą tylko **20 centów** rocznie. A to dla tego, że odpada koszt przesyłki, czyli opłata marek pocztowych, która wynosi 12 centów rocznie.

**Treść numeru:** Zgon Sowińskiego. — List do „Zorzy“. — Pogrzeb. — Bohaterstwo i śmierć. — Z ziemi śląskiej. — Nasze obrazki. — Rozmaitości. — Rady gospodarskie. — Odpowiedzi od Redakcji. — Od Administracji.